

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr.— kwartalna 1 Złr. 30 kr.— miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.— kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pisemem piątą w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha

STARY KOMORNIK.

(Ciąg dalszy).

Nasz więc pan Piotr, wówczas gdy przyjechał na pogrzeb ojca, praktykował u jakiegoś starego komornika, którego spodziewał się zostać zastępcą. Rodziców to wszystko nie kosztowało, bo pan Piotr wstępując w dom komornika, miał już z czasów studenckich, cudownie można by powiedzieć oszczędzoną kwotę pieniężną, która dozwalała mu oczekiwać spokojnie przy stancyi tylko i wikcie, u komornika mianym, na dalszy rozwój losu swego. I nie bez tego było, że mnogiem już doświadczeniem w sztuce tumanienia nauczony pan Piotr, umiał sobie wyrobić u komornika nie jeden boczny zarobeczek, o którym się komornikowi ani śniło.

Odbywszy pogrzeb ojca, którego był zimnym świadkiem, bez jednej łzy żalu mimo tylu łez, które wraz z grudkami ziemi padły do grobu z oczów poczciwego sąsiedztwa, pan Piotr nie długo gościł w domu rodzicielskim.

Dniem wprzódym miał wyjechać, przeszedł wszystkie domu kąty, i obejrzał wszystkie jakie w nim były sprzęty, a okiem, wprawem już, wnet je oszacował. Skrzywił się; śnać to oszacowanie nie zbyt świetnie wypadło. Objechał potem pola wszystkie i wszystkie granice, a z kolei stanął przy owym tyle pamiętnym dla siebie kopcu na zielonej łące. Zamyślił się nad nim chwilę, i pogardliwym ruchem uderzył weń nogą. Może przypomniał sobie smutny ojcowski basarunek? Gdzie tam! On prze-myśliwał plany przyszłe; jak-by tu zostać panem Fedorówki dziedzicznym, a zostawszy nim uśmiechała się doń myśl, przyprowadzić do skutku ów swój dziecinny concept graniczny na złość panu Samuelowi, który żył jeszcze ale życiem lampy dogorywającej, i na złość Józiewi, który także z wyborem polskiej młodzieży wyruszył do Francji, by walczyć pod znakami Napoleona.

Przyszły komornik miał już w swej przed czasem lysięjącej głowie rozmaite myśli i planiki, do których wszakże trzeba było czasu i rozmaitych przygotowań.

— Zrobi się to, zrobi wszystko! mruknął sam do siebie i wrócił do domu. Wstąpił jeszcze do stajni i masztarni ojcowskiej i co najlepsze konie i bryczkę wybrawszy, rozkazał by na jutro dodnia były gotowe dla niego.

Wieczorem pożegnał się z matką i siostrą czulej, niż

to było w jego usposobieniu. Śnać było mu to potrzebne.

— Mama dobrodziejka! wyrzekł głosem słodziutkim, ucierając nosa, co mogło ujść także za starcie łez, — nie weźmie mnie za złe, że ja biorę z sobą oba kasztanki i zieloną bryczkę.

Biedna matka spuściła oczy w dół, a Różia zaczerwieniła się po uszy. Pan Piotr ciągnął dalej!

— Mam bowiem w interesach mego pryncypała mnóstwo przejazdów, które mnie przez najem koni i powozu okropnie kosztują.

Oczywiście, wszystko to od A. aż do Z. skłamał.

— Jeżeli ci potrzebne! odrzekła matka z pół westchnieniem. Do kościoła możemy i broniakami pojechać.

— A żółta bryczka lepiej nawet nosi! ozwała się Różia z całą szlachetnością poczciwej i siostry i córki; aby bratu wstydu a matce żalu umniejszyć.

— I nareszcie nie długo zapewne zabawimy w Fedorówce. Dłużnicy lada chwila mogą nas wyrzucić.

— Niech mama siedzi póki może; a jak będzie kręto, trzeba wyjechać do Stanisławowa. Już my tam coś obmyślimy. Mam ja, mam różne sposoby! Ale niech mama nie zapomni wszystkie sprzęty nasze pozabierać z sobą. Pan Samuel da zapewne fury swoje.

— I do kogóż mamy się udać, jeżeli nie do ciebie mój synu? Michał i Franciszek nie prędko wrócą, i sami biedaki.

— Jeżeli wrócą! przerwał pan Piotr; słyszałem, że to mordercza tam wojna.

— Wrócą! wrócą pewnie! zawołała Różia jak szkarłat czerwona; wrócą wraz z naszymi pułkami... i pan Józef wróci, dodała ciszej — rumieniając się jeszcze więcej.

Pan Piotr nic nie odpowiedział, uściskał tylko chłodnym uściskiem matkę i siostrę, i poszedł spać najspokojniej. Nazajutrz wyjechał.

W lat parę pan Piotr był rzeczywistym komornikiem, co w owym o którym piszę czasie, z niewielką przychodziło trudnością. Był więc już pan Piotr na szczycie szczęścia dawno wymarzonego, i usposobienie swoje komornicze mógł już w całej objawić okazałości. Jakoż wkrótce został typem prawdziwym komornika.

Nie będę ja tu szedł krok w krok za wszelkimi czynnościami i zdarzeniami życia pana Piotra, jakkolwiek nie

było by to może bez pożytku, przebiedziesz wszystkie takie go komornika działania jego zawodu dotyczące się, podnieść powody onych, i okazać ile pociągnęły za sobą smutnych następstw dla całych rodzin, o które się otarł taki komornik w działaniach swoich. Lecz to by przeciągnęło nadto obręby szkicu zamierzonego i wpadłoby wreszcie w konieczną monotoność.

Wolę więc tylko podnieść niektóre chwile z życia pana Piotra jako człowieka i jako komornika.

Widzieliśmy już poprzednio, że pan Piotr wspomniał coś o jakimś planie na przyszłość, do którego mu wszakże potrzeba było czasu i rozmaitych przygotowań. W rzeczy samej miał on planik bardzo korzystny dla siebie, i godny jego chciwej duszy. Czyli on ten plan sam wymyślił, czy mu go może poddał jego pryncypał, niewiem, ale tak rzecz się miała.

Stary jego pryncypał miał przyjaciela, z którym przeżył lat trzydzieści z górą w najlepszej komitywie, od którego doznał niejednej przyjacielskiej usługi i który umierając zrobił go opiekunem małoletnich dzieci swoich. Zostawił on dwie niezłych wiosek i troje dzieci, dwie córki starszych i najmłodszego syna; testamentem zaś tak rozporządził, że wioski miały się dostać najstarszej córce i najmłodszemu synowi, średnia zaś córka miała być spłaconą przez rodzeństwo. W czasie gdy pan Piotr przyszedł do pryncypała swego, dziewczęta dorastały już na panny, a chłopiec chodził do szkół.

Pan Piotr wnet się obznajomił ze wszystkimi interesami swego pryncypała, poznał oraz pod jego opieką będące sieroty, które mieszkaly u siostry pryncypała, i matematyczną a sprytną obdarzony głową, wnet ocenił ich majątek i wyrachował, jakby mógł z niego wyciągnąć korzyść dla siebie. Oczywiście pierwsza myśl przyszła mu do głowy, ożenić się z jedną z tych sierot, kiedy nie można ożenić się z oboma.

Ale z którą? z tą co ma wieś! — odpowiedziałby każdy. Nie tak rzecz tę zrozumiał pan Piotr, który już u swego pryncypała liźnął tyle rozumu prawniczego, iż pojął od razu, że najlepiej ze spłatem swoim wleść w obie wioski, i ewinkować z obydwóch pretensje swoje. Mianowicie gdy się rozpatrzył, że obie wioski jakkolwiek rzetelnie czyste, i żadnymi długami osobistymi nieboszczyka nie obciążone, zawalone są rozmaitemi tak zwanymi extenzyjami sum urojonych ale milionowych. Co są extenzyje, jeżeli kto nie wie, niech się spyta adwokatów naszych, z których każdy prawie w dawniejszych mianowicie czasach szukał w tabuli takiego majątku zamazanego extenzyjami i jakkolwiek kwoty te były urojone, jak się wziął do nich, jak zaczął extabulować te extensyje, czasem puszczać one na licytacya, i przez trzecią i dziesiątą osobę nabywać milionowe kwoty za paret ryńskich, a potem znowu godzić się a straszyc procesem, tak w końcu wyciągnął zawsze

z tej całej wielce sprawiedliwej bo prawnej manipulacji parę, jeżeli i niewięcej wiosek. — Ja tyle wiem o extenzyjach, że powiększej części są to kwoty intabulowane na różnych majątkach, pochodzące z bankructw wielkich panów; w rzeczywistości są one już gdzieindziej umorzone, ale niemniej przeto obciążają wszystkie majątki, należące ongi do owego wielkiego pana.

A że komornik niedaleko odstrzeżił się od adwokata, o niego się nieraz ociera, tysiączne ma z nim styczności i oba nieraz są sobie nawzajem potrzebni, nasz pan Piotr wymyślił sobie planik, niewyraźny jeszcze w szczegółach ale wyraźny jak słońce w ogólnym onego zarysie, aby za pomocą opłat i pretensyi swoich mieć wpływ na obie wsie, a korzystając z onych extensyi i koniecznej potrzeby oczyszczenia majątku, wycisnąć na korzyść swoją co najlepszego wycisnąć się da z obu wiosek.

To był zarys ogólny. Lecz pan Piotr nie był takim prostym i nieudolnym taktikiem, by wszystkich nie rozebrał szczegółów choćby najdrobniejszych.

— Dobrze to mieć wpływ do obu wiosek! pomyślał pan Piotr, ale starsza siostra pójdzie za mąż, młodszy braciszek ożeni się, a więc będzie szwagier i bratowa, którzy także zechcą się mieszać w interesa, mieć wpływ do nich i będą mieli głos stanowczy.

Inny uległby tej trudności, bo jużciż zabronić siostrze by nie szła za mąż, a bratu by się nie żenił, istne niepodobieństwo. Pan Piotr nie uległ. Pana Piotra twarz przebiegła łyskawicą myśli jeniałnej.

— Trzeba sobie wybrać i szwagra i bratową!

Te były myśli z którymi nosił się, gdy przyjechał na pogrzeb ojca, to były myśli nareszcie którymi się naprzód zajmował, gdy już raz został komornikiem. A trzeba było myśleć i znaleźć rozwiązanie jak najprędzej, bo obie panny mianowicie, były już w wieku w którym myśl o mężu staje się chroniczną i w którym zaczynają się skradać łowcy posagowi. Z chłopcem mniej było kłopotu, bo jakkolwiek pracował i męczył się brzytwą by z mchu wąs pod nosem wyrobić, siedział jeszcze na szkolnych ławkach, i choć może już nieraz myślał o miłości, to pewnie nie o małżeńskiej.

— Periculum in mora! mówił do siebie pan komornik, i przygotowując sobie pole, umizgał się do obydwóch sióstr, z lekka, ostrożnie i dyplomatycznie.

Tymczasem nowy kłopot spadł na pana Piotra; kłopotem on nazywał przyjazd matki i siostry do Stanisławowa, gdzie sam rezydował.

Biedna wdowa pracowała jak mogła około gospodarstwa, w czem i wielka część sąsiedztwa serdecznie jej pomagała, i opłacała procenta dłużnikom wedle możności. Ale jak się nie wie, to nie wie, i bieda nigdy sama jedna w dom nie przychodzi; przyszło parę lat z kolei nieurodzajnych, pani Wyrowiczowa nie mogła dalej

ani utrzymać się ani opłacać podatków i długów. Widząc tedy, że ze wszystkich stron grozi jej niebezpieczeństwo, napisała do syna pytając o radę. Pan Piotr, który już był wówczas komornikiem, odpisał z wielką powagą, i niemalą czułością: że prosi by matka i siostra przyjechały do Stanisławowa, a że on co do Fedorówki będzie się starał ratować, jak będzie można, jakkolwiek nie wiele ma nadziei.

Matka się rozczuliła, przypisując to dobremu sercu syna, i nawet zarzucała sobie w głębi sumienia swego, że mu krzywdę wyrządziła, posadzając go o zimne i obojętne serce.

Różia cieszyła się że jedzie do miasteczka; a może w głębi duszy myślała sobie, że łatwiej przyjdzie jej mieć jakieś wiadomości w miasteczku, o tem co się tam dzieje na świecie wojennym i politycznym. Wyznać trzeba, że na tym świecie i wojennym i politycznym, nie widziała ona wiele więcej prócz braci i pana Józefa, którego jakoś zapomnieć nie mogła.

Pan Piotr przyjął matkę i siostrę zimno, ale z wyrachowaną grzecznością, i ulokował je w przygotowanym już dla nich należycie odartym i ubogim dworku przedmiejskim.

Co do interesów Fedorowieckich, bardzo był małomowny; tyle tylko powiedział, że go ten interes już wiele kosztuje, i jeszcze więcej kosztować będzie, co oczywiście rozważywszy obie, zapewne starać się będą jak najtańszym żyć kosztem w Stanisławowie.

— Ja umiem szyć i haftować! — ozwała się siostra.

— Ja chyba prać i cerować bym mogła; — dodała matka.

Pan Piotr chrząknął, mruknął, lecz nic nie odpowiedział. Nie wyszedł wszakże wpródy, póki nie wziął i od matki i od siostry pełnomocnictwa interesów Fedorowieckich.

— Czy nie masz jakich wiadomości o Michale i o Franciszku! — zapytała matka.

— I o...! chciała zapytać Różia słowem, ale zapytała tylko szkarłatnym rumieńcem.

— Żadnej nie mam! — odpowiedział pan Piotr, spuściwszy oczy w dół niby z żalu wielkiego.

I żal i odpowiedź były skłamane, bo już przed kilką miesiącami postarał się o wiadomości szczegółowe o braciach, i nie żałując wydatków wyrobił sobie od obydwóch pełnomocnictwo najzupełniejsze.

— Fedorówka będzie moja! — pomyślał wychodząc od matki.

(D. c. n.)

Smutno na ziemi!

Wiosno moja, wiosno młoda,
Gdzieś ty zbiegła? gdzie swoboda?
Gdzie różane sny wiosniane,
Złote łzy i sny?.

Łzy się spiekły, sny pobladły,
Kwiaty zwiędły i opadły,
Same ciernie stoją wiernie
W grudnej drodze mej.

A te chwile, sny motyle,
Szczęściem mnie łudziły mile,
By w żałobie, jak na grobie
Ciszej życie wleć!
Dosyć trudów, dosyć znoju,
Czas już złożyć pierś w spokoju,
Życie nuży, czas po burzy
Już w spokoju leż!

Ziemia cała puszcza głucha,
Pieśni serca nikt nie słucha,
I do koła nie wywoła
Nawet echa! nie!..
I anioły nocną ciszą
Smutnej piosnki nie dosłyszają,
Bo stłumiona, rozstrojona,
Nie doleci, nie!

J. K. S.

Z PAMIĘTNIKÓW UŁANA.

Było to jakoś na kilka tygodni przed wakacjami roku pańskiego 1825go, a byłem w ówczas w klasie 5. w liceum Św. Anny w Krakowie, gdy razu jednego wychodząc jak zwykle o 11. godzinie z klas, ujrzelismy na rogu ulicy mnóstwo malców z klas niższych, pędem biejących za jakimś jaskrawym i błyszczącym się przedmiotem. Lud cały wolnego miasta Krakowa zatrzymywał się także, to się oglądając ciekawie po za siebie, to się gapiąc z wielkiem zajęciem; przedmiot atoli tej ogólnej uwagi, którego my rozpoznać nie mogliśmy, szybko się posuwał w rynek, tylko coś jakby wysoka kita biała, od czasu do czasu pochylała się nad rogatą amarantowej barwy czapką, — tylko niby błysk nagły, odbiły się kiedy niekiedy o to niepojęte dla nas zjawisko lipcowego słońca promienie! A w tem szmer i szelest zrazu cichy, potem coraz głośniejszy począł się szerzyć do koła: — patrzajcie panowie! patrzcie panie! co za śliczny ułan z Warszawy!! ach cóż za pyszny mundur!

— „Aco za mina dziarska!“ odezvano się gdzie indziej. Jaki ładny! zaszemrzał jakiś nieśmiały półgębkowy głosik. A ułan walił sobie dalej, niby nic nie widząc, nic nie słysząc, co mówią koło niego, tylko co raz to węża dumnie pokręcił, co raz to rękę z wdziękiem przyłożył do wspaniale na prawem uchu leżącej amarantowej czapki, wreszcie wpadł do jednej z kamienic na ulicy grodzkiej.

Był to na urlop przybyły podofficer z 1go pułku ułanów, Józef Wasilewski, a że z bratem jego Edmundem, o-wym zawcześnie dla polskiej muzy zgasłym poetą krakowianem, kolegowałem i byłem nawet w przyjaźni, więc i wkrótce z naszym ułanem znajomość zabrałem.

Jak tedy zaczął nam to błogie życie wojskowe wychwalać,— owe parady na Saskim placu przed W. księciem Konstantym, opisywać owe rewie, manewra, świetne uroczystości dworu w czasie bytności cesarza w Warszawie, owe rozkosze garnizonowego życia i ten ubior, ten ubior pyszny narodowy! dziarski koń! furcząca chorągiewka u lancy, błyszcząca u boku szabla i brzęczące ostrogi! Że zaś o odwrotną stronę tego obrazu nikt go się ani myślał pytać, a sam też nie kwapił się jej opisać, tyle dokazał, że odjeżdżając zwerbował dla zastępów polskiej armii, której i tak nigdy nie brak było na ochotnikach, tęgi hufiec Krakowianów. Co do mnie, od tej chwili zapomniałem o seminarium, o ojeach reformatach, do czego zrazu miałem szczerą niby ochotę; nauki mi zmierzły, tylko na jawie i we śnie ciągle hasałem w ułańskim mundurze z czapczką na bakier, na ognistym gnadoszu, tworząc sobie naprzód już w żywej wyobraźni stopnie i honory, boje, krzyże i triumfy i rozkosz powitania mnie kiedyś od zdziwionej i pyszniącej się mną matki i rodzeństwa—zwycięzcą i bohaterem z dalekiej jakiej wyprawy, i Bóg wie co — i na tem skończyło się, że doczekawszy ledwo egzaminów, skończywszy klasę 5. licealną, mając lat 17, pospieszyłem do matki z najusilniejszym postanowieniem, więcej do szkół niewracać, lecz wyrobić sobie u niej pozwolenie i pomoc jechania do Warszawy do wojska, co się też i stało. Matka zazru ani sobie wspomnieć o tem dała, najprzód, że siły moje były zbyt jeszcze wątłe, i zdrowie od dzieciństwa prawie słabe, potem, że niebyło funduszu na wyprawienie mnie i przyzwoite opatrzenie, a nadewszystko nie miałem nikogo co by mnie wziął za mojem tam przybyciem pod swą opiekę i protekcję. Ale ja na wszystko miałem gotową radę i wyrobiony argument do zbijania zarzutów; najprzód co do zdrowia, potrzebowałem zahartowania się za młodu, które wzmocnić miało moje siły; wprawdzie co do tego jednego wniosku nieomyliłem się, bo pierwsi zawsze słabowity, w wojsku byłem ciągle zdrów i silny. Co do pieniędzy, tych, oświadczyłem że niepotrzebuję tylko na podróż do Warszawy, bo raz na miejscu, zaraz z pomocą zabranej znajomości z Wasilewskim, zaciągnę się do pułku ułanów i dostanę mundur i żołd, więc będę miał utrzymanie; tu już przeliczyłem się grubo, jak się okaże niżej. Zaś co do protekcji oświadczyłem, że jej ani potrzebuje ani żądam, bo pragnę własną zasługą torować sobie drogę do awansu, nie wpływami możnych, które uważam za intrygę, niegodną honoru żołnierza. Oj i tu pokazało się później, że nadto poetyczne miał o wojskowości wyobrażenia, i świata ani ludzi nie znałem wcale. — Ale dobra i pocziwa matka widząc moją stałą wolę, zresztą nie mając środków do zapewnienia lub obmyślenia mi na innej drodze przyszłości, choć z bolem serca i obawą o mnie, uległa wreszcie mym naleganiom i powierzyła resztę woli Boga! Zdobyła się biedna na 100 złp., opatrzyła mnie w

bieliznę, świadectwa szkolne, metrykę, dała pozwolenie legalizowane, wreszcie błogosławieństwo, i jadącemu furmanowi żydowi z towarem ze łzami powierzyła, którego mnie do Warszawy szczęśliwie, pamiętam dnia 10. Grudnia. 1825. roku przywiózł i wysadził w domu zajezdnym na ulicy Freta, i samemu sobie wśród nieznanego miasta i ludzi zostawił. — Kiedy mój tłumoczek ujrzałem obok siebie, i żyd wzięwszy list do matki z ostatniem mojem pożegnaniem zniknął już za drzwiami, a ja sam, całkiem sam w cudzem, nieznanem miejscu, bez jednej znajomej, życzliwej twarzy się znalazłem, ścisnęło mi się serce, i dopiero pojąłem całą ważność zuchwałego kroku, jaki na drodze życia postawiłem, a cofnąć się już niebyło sposobu. — Dzień ten strawiłem na oglądaniu powierzchownem Warszawy, w której zbłądziłem nie jeden raz, nim do mojego mieszkania trafiłem.

Na dole w tym domu gdzie stanąłem, była piwiarnia, rodzaj kawiarni, gdzie nie kawę lecz wyborne piwo warszawskie spijano, a przytem grano w karty, w bilard i inne gry. Tam w wieczór zeszło się pełno wojskowych z różnych pułków polskich i gwardyi rosyjskiej. Gdy się dowiedzieli, że ja jestem aspirant do wojska, ale nie mam nikogo znajomego aby mnie oświecił, jak sobie mam w tem poradzić, wzięli mnie między siebie, kontenci z podobnej gratki, bo najprzód ja piwo fundowałem, oni pili, a każdego swój pułk pod niebiosa wychwalał i do niego mnie namawiał. I tak: ułani, ku którym już zdawna me serce się skłaniało, też same mi powtarzali zalety co Wasilewski, ale mnie to trochę zadziwiło, że ich tam niewidziałem w owym paradnym ubiorze, w jakim on co dzień po ulicach Krakowa się pokazywał, lecz w kurtkach i rajtuzach skórami podbitych, od których o sto kroków pot koński niemilosiernie zalatywał. Trzeba zaś wiedzieć, że ci wszyscy com ich tam widział, nie byli to oficerowie lecz podoficerowie i kadeci. Tu piechur z gwardyi grenadyerów, z wysokiem na kaszkiecie piórem, zaleca mi się i ręczy, że za lat trzy będę oficerem — a chwalać mój piękny wzrost i figurę, bierze na siebie, że będę przedstawiony jenerałowi gwardyi Żymirskiemu. Dalej sapersy, artylerzyści konni i piesi, ale na tych nie wiele zważałem. Nad wszystkich jednak głośniej i śmielej wystąpił przystojny z ogromnemi wosami a prosty jak świeca sierżant z 4. pułku liniowego i tak do mnie i do obecnych przemówił; «Co tam mosanie! bo nie wiem jak uczcić — pewnie akademik albo od jakiego dworu? ale mniejsza o to, kiedy chcesz być kolegą, to choć jeszcze jesteście fałdą*) mospanie, poradzić ci należy szczerze.— Otóż słuchaj mnie bom nie rekrut, znam służbę swoją na palcach, znam służbę także i innej broni, bo każdego swoje chwali jak może — no bo tak powinien do licha! To żołnierska sztuka, choćbyś trzy dni nie jadł, kłuj zęby, i minę miej od milion diabłów! Zresztą pokpiwaj na lewo a na

*) Fałdą nazywali wojskowi polscy każdego cywilnego.

prawo mrugaj! Ale co prawda to nie grzech! Co to wykoledzy, macie wy sumienie takiego dzieciaka do konnicy namawiać? Cóż to? czy ja to nieznam waszej rozkoszy, czy co? he! szkape chędoż — na sznurwachu stajnie zamiataj, noś na plecach z magazynu po półkorca owsa albo cetnarze siana, ciągnij wodę, rzemiona i żelaziwa czyść, a jak dostanie remontę, bestyję narowną, co sobie w zęby nieda zajrzeć, a tu każą mu uszy, chrapy i pęciny wystrzedz, — wtenczas kłaniaj się kolegom, aby go pomagali pokładać, wiązać i strzydz. A to jeszcze nie, ale jak cię wezmą na ujeżdżalnię — a tam instruktor co chwila dwa razy harapem w jeźdźca a raz w konia, raz konia, a raz jeźdźca, albo w marszach za byle co, nieś za karę cały pakunek na plecach, a konia prowadź z miłą za sobą po mazowieckich piaskach, lub bagnach podlaskich; albo wpakuje na ciebie z 15 lanc i stój pod nimi godzinę! Oj! kością ci w gardle wtenczas stanie kawalerzysty życie, więcej fumu szumu jak korzyści. Niemasz to jak piechur mosanie! Cały majątek na plecach, zawsze wesół, lekki, o nic się nie troszczy, tylko o to aby miał pełno w manierce, karabin czysty i parę skałek w zapasie. Przyjdzie marszu na kwartę, karabin w ką, ciele na kołek, i dalejże do miski albo do..... no ale młodzikowi do tego jeszcze wara! potem śpi sobie dopóki na apel nie zabębnią; gdy tymczasem biedny kawalerzysta trzy godzin dłużej a trzy godzin wcześniej pracuje. Szoruje, myje, czesze, karmi i poi swoją szkapę — gagatka! a sam głodnego tymczasem Tadeusza śpiewa.”

— „O zapewne! przerwał stary wachmistrz od ułanów, czesze, myje i pieści jak dziecko, to prawda, bo koń dobry to dusza i zdrowie kawalerzysty, to jego cały skarb. Spisz! spisz! do miski! hm... bufonada! diabła tam tubie jadło smakuje, jak się złazisz, zmokniesz, po kolana się zabłocisz jak wyżeł za kaczkami, a nadźwigasz się jak muł. Już cię legniesz to prawda i leżysz jak kłoda, bo nóg nie czujesz, a skoro dzień — jeszcze ci buty nie wyschły, obuwaj! ciele na plecy! i marsz! O mój bracie! odbył ja kampanię, to ja się napatrzył tej rozkoszy piechurskiej. Póki pogoda, póki chłodno, póki sprawa się wiedzie, to idzie jakoś takoś; ale jak no przyjdą upały albo pluty, a do tego jaka porażka, rejterada, ciągłe marsze toż to mój Bezel! sercu żal się na was patrzeć! Zabłoceni, zakasane poły od płaszczów, brną i wleką się jak dziady, a kiedy to jeszcze przyjdzie prawdziwy strach i na piechotę w rosypce! Konnica naciera, kłuje i rąbie, a wtenczas kto w Boga wierzy, ciele i karabin o ziemię, i w nogach cała nadzieja! Oj djabłu byś w tedy bracie duszę zaprzedał, byleś w owej strasznej chwili mógł nie tylko szkapy ale i osła się gdzie dorwać. Dla tego też, któż maroder jeżeli nie piechur? Może nie prawda? co? a ja? ja sobie pan! Słota? płaszczem się zawinę, fajkę w zęby, i niech sobie tam leje choćby i siarczysty!.. Pogoń? to hurra! lanca wpół ucha końskiego i naprzód z kopyta! Rejterada albo trwoga? to łytki i szpo-

ry w boki i hajda! a choć się i ucieka? no! ale to zawsze z jakąś godnością mosanie i pewną dumą!”

— „No, no dajże już pokój wachmistrz! z tą dumą i godnością, ucieczka zawsze ucieczką i mnie się zdaje, że czy na koniu, czy piechotą wtenczas człek nie bardzo się panoszy, jak drapaka daje, ale kiedy już tak go straszysz marszami, to niech idzie do nas do 4. liniowego, oto pułk ulubiony naszego W. księcia. Zna każdego po imieniu jak szarą gęś, bo z Warszawy nie ruszamy się nigdy, a czwartaki bracie sławni w całej armii!”

— „A tak, niema co mówić, zwłaszcza na Pociejowie! odburknął wachmistrz, pokręcając węża; wszak to skoro się tam czwartak pokaże, to żydy sklepy zamykają, na gwałt krzyczą: *Aj waj herste! co za kipiec, 4. numer na guziku a biały żatkes na ramieniu! Och herste mach zu! mach zu?* i mają słuszną, bo podobno już nie jeden raz zbyli towar bez pieniędzy czwartakom, skoro ci w swoich płaszczach na ramiona zarzuconych, przeszli się tylko z niechcenia koło kramów.”

— „No! niema co mówić, że zręczne bestyje wiarusy! ponowił sierżant; i to jakby zmówił, pchają się z tym talentem do naszego pułku, ale też zato któryż inny pułk z taką postawą przedefiluje po Saskim placu? Któryż tak bronię robi? Z któregoż pułku tęsze posyłki meldują się na pokojach? Któryż dostarcza rok — rocznie instruktorów do całej prawie armii litewskiej a nawet i rosyjskiej? Że kradną? no toć i słońce ma plamy, ale zato co żołnierz to żołnierz całą gębą jeden w drugiego! No mój paniczu mam nadzieję że cię przekonał i jużes nasz!”

Gdy m się na odpowiedź zabierał, przerwał jakiś kadet czy podoficer od gwardyi grenadierów.

— „Nic z tego, on się wam na nic nie zda; sam dopiero kolego mówiłeś, że co się do was dostanie, to z talentem... Rozumiesz mnie? a temu młodzikowi poczciwość z oczów jak u dziewczyny patrzy. Szkoda go do was, on grenadyrem będzie, to jest właśnie dla szlachetnego dziecka miejsce; gwardya także z Warszawy nie wychodzi nigdy a niech no się podoba W. księciu, jak padnie na humor, może go do szkoły od razu posłać albo i podchorążym zrobić. Alboż to nie zdarzało się nieraz?” „Moi panowie odezwałem się nato: Dziś wam nie odpowiedzieć stanowczo nie potrafie, ale jutro radbym się przypatrzył paradzie na Saskim placu, to będę uważać, który pułk piękniej się wy-daje i jakoś zastanowię się; — może być że dostanę natchnienia, jak się zdecydować; tylko niewiem czy trafię na Saski plac? i o której to godzinie parada?” „Ja jutro nie idę na defil, rzekł grenadier, to po ciebie mój przyszły kolego przyjdę, około 10. godziny bądź gotów, a teraz dobranoc, bo to podobno capstrzyk bębnią, w krótko i apel u nas. Jeszcze raz ułan, czwartak i grenadyr żegnając się zenną kaźden szepnął do ucha: „ej do nas bracie“ i poszli. Wypili z 15 butelek piwa, zjedli kilka funtów sera i kilka tuzinów bułek, za com z 10 złp. zapłacili, alem też zrobił

znajomość i już mi jakoś lżej było kładąc się spać, bom się nie czuł być już sam w całej Warszawie. Nazajutrz około 10tej stawil się wiernie mój nowy przyjaciel grenadyer, a wypiwszy parę kieliszków wódki i przekąsiwszy nieco poprowadził z sobą.

Po rogach ulic dotykających Saskiego placu, stali już żandarmy na koniach, pilnując porządku i broniąc przejazdu powozom; zaś na placu otoczonym barykadami stały i czekały już w pełnej paradzie przybycia W. księcia oddziały defilowe, których koleją dostarczały pułki tak gwardyi pieszej i konnej litewskiej, jako i gwardyi pieszej i konnej polskiej, także 4go liniowego piechoty, które to zawsze stały w Warszawie, nie mniej pułk kawaleryi liniowej, który przez rok pełnił garnizonową służbę. Wówczas stał w Warszawie 1szy pułk ułanów.

Ujrzawszy na raz tyle zgromadzonego wojska tak ślicznego, tak pysznie wyglądającego, tyle jenerałów i oficerów w świetnych i błyszczących od złota i srebra uniformach, te bogate szlify i kordony i akselbanty, te pióra powiewające jak fale na kapeluszach, choć jeszcze z miejsca się nie ruszyli, osłupiałem prawdziwie! Wszyscy w jeden punkt mieli oczy zwrócone, t. j. na drogę prowadzącą do Belwederu, z kąd W. książę miał nadjechać. Berajter tymczasem ujeżdżał mu na placu dzielnego araba; uważałem że od czasu do czasu różni jenerałowie i wyżsi oficerowie podjeżdżając do berajtera o coś go pytali, a każdego odjeżdżającego od niego z wesołą miną przed swój oddział, ciągle jeszcze oglądając swoich żołnierzy i jeszcze coś poprawiając. — Jak się później dowiedziałem, pytano się berajtera, w jakim humorze książę wstał? od tego bowiem zależało powodzenie parady. W owym dniu książę wstał w kapitalnym humorze, radość więc malowała się na wszystkich twarzach, bo pewni naprzód już byli, że choćby się zdarzyły jakie uchybienia, nie będą uważane i dobrze pójdzie.

(D. c. n.)

Angielska izba niższa.

(Ciąg dalszy)

Ale dopiero na ustęp posiedzenia, który teraz opiszemy, zwróciła uwaga Europy i całej ziemi, i teraz dopiero charakter i znaczenie angielskiego parlamentu poznać można. Następują bowiem interpelacje z których ministrowie, o ile ujdzie wywikłać się starają. Galerye przepełnione, a prawodawcy i goście wszyscy z nakrytymi głowami, zdaje się dla tego, że kapeluszów niema gdzie postawić. Ława ministrów obsadzona a na środku jej siedzi *lord John Russel* w kapeluszu aż na uszy wciśniętym, i z rękami na piersi na krzyż założonemi, zdaje się ciągle strudzony i zuudczony. Jemu po lewej siada zwykle *lord Palmerston* w największym komforcie, i z wyrazem w twarzy, jakby na wszystkie w świecie zapytania był przygotowany, a wyraz ten ani poznać, by był sztuczny. Z tymi oboma sędziwymi już mężami stanu zasiada po prawej ręce Russela trzeci, także już, pomimo postawy czertstwej i silnej, podstarzały męszczyna, *Sir John Graham* z swobodnym i obojętnym prawie uśmiechem na ustach i w kapeluszu, gdzie aż na kark zsu-

niętym. Na lewo od *Palmerstona* napotkać można *lorda Gladstone*, ministra skarbu, a żywe i dowcipne rysy lica jego dziwnie odbijają od uroczystrych figur *Mr. Cardwella* i *Mr. Wilsonsa*, sekretarzów skarbu. Obok nich aż do krzesła marszałkowskiego mieszczą się jak mogą *Sir J. Young* i najwyżsi urzędnicy sądowi Anglii i Szkocyi. Na prawo od *Sir Johra Graham* siedzi *Sir Herbert* i *Sir Molesworth*, ostatni w swoim dziwnego kształtu kapeluszu z szkiełkiem w oku, a miną jemu tylko właściwą, ospałą, marzącą i nieuważną, która zdaje mu się iż należy do stereotypowo-urzędowej miny członka ministerialnego w parlamencie. Dalej napotkać można *Sir Charla Wood*, który jakoś przy sobie zawsze i dla swego sekretarza miejsca wyszuka, *Mr. Strutta*, z miny brata *Sir Moleswortha*, admirała *Berkeleya*, *Mr. Fitzroya*, obecnie podsekretarza w ministerium spraw wewnętrznych, i *Mr. Cowpera*; poczem następują *Mr. Grenville* i *Earl of Mulgrave*, adjutant agenta rządowego *Haytera*, który nigdy chwili spokojnie nie wysiedzi na swoim krześle, lecz ciągle się to po ławie ministerialnej, to po wstępnej sali uwija. Inni członkowie gabinetu, *Osborne*, *Villiers*, *Krogh*, *Mansell*, i t. p. ukazują się prawie tylko wtedy w parlamencie, kiedy chodzi o sprawy, szczegółowo do ich biór należące.

Na drugiej ławie, zaraz za ostatnim krzesłem ministerialnem siedzi obok przedziału stary, niezmordowany reformator *Hume*, a obok niego za marszałkiem *Sir Joshua Welmsley*, *Mr. Ewart*, *Mr. Horsman*, *Dr. Phillimore*, *Sir James*, *Sir Hogg*, *Mr. Oliveira*, *Sir James Anderson*, *Mr. Glyne*, *Mr. W. Brown*, *Mr. Dunlop*, *Lord Monck* i *Mr. Brotherton*. Ostatniego już nieco znamy, tamci są wszyscy mniej więcej gorliwymi i zdatnymi stronnikami rządu. Na środku tej drugiej ławy zasiada czasem *Macaulay*.

Na trzeciej ławie na miejscach poza *Humem*, nie ma żadnej znakomitości parlamentarskiej, ale ku środkowi rzecz ma się inaczej. Po upadku ministerium Peela nastął zwyczaj, że wszyscy exministrowie na tej ławie zasiadają, a więc można zobaczyć tam wszystkich członków gabinetu russelowego, którzy w obecnym składzie ministerium jakoś pomieścić się nie mogli. Są to: *Lord Seymour*, *Mr. Smith*, *Mr. Labouchère*, *Sir George Grey*, *Sir Francis Baring*, *Mr. Edward Elliot* i *Mr. Tussnell*, obok którego siedzi najznacniejszy, czyli raczej najszczęśliwszy stronnik *Sir Roberta Peela*, choć miejsce to wcale mu nie do gustu przypada, *Mr. Gauburn*. Na innych ławach w tej stronie już niema nikogo więcej, co by mógł zwrócić uwagę na siebie, prócz *Mr. Tomasza Duncombe*. Jestto pierwszy taktyk i najdowcipniejszy humorysta izby; dla tego też, gdy ma występować, izba zwykle jest pełna. Siedzi on na samym zatyłku obok przedziału ławek, z kąd pomimo nadwątlonego zdrowia nieraz najdowcipniejszemi synpnie epigramacikami i przycinkami, które nietylko ważną treścią swoją odróżniają się od zwykłych figur returycznych ale co najważniejsza, nigdy nie odstrzelą od rzeczy, o którą właśnie idzie, lecz owszem w samą rdzeń jej uderzają.

Pod przedziałem ław, na stronie ministerialnej, siedzą na rogu w pierwszym rzędzie ław dwaj panowie, przy których się cokolwiek dłużej zatrzymamy. Są to *Sir Robert Inglis* i *Mr. Drummond*. Pierwszego snadnie nazwaćby można św. Jerzym kościoła anglikańskiego, który zawsze gotów z kopiją uderzyć, skoro gdzie jaka religijna reforma łeb smoczy podnieść się waży. Okrył się on w tym względzie już nie raz wawrzynami, a wszystkie dzienniki brzmiały echem sławy jego, gdy się przed izbą wytoczyły debaty nad przypuszczeniem starozakonnych do parlamentu. Tymczasem on prędzej na poważnego prałata niż na wojownika wygląda. Jest on zanadto staroświeczyzny czcicielem, aby w izbie z nakrytą głową siedział, więc lśniąca łysina jego wcale do tonzury podobna. Tylko kwiatki, które on o każdej porze roku nosi, jakoś dziwnie odbijają od nieświeckiej jego figury. Dzień w dzień obok *Sir Roberta Inglisa* napotkać można *Sir Drummonda*, i niemożna sobie dwóch większych kontra-

stów wyobrazić, jak lica tych obu członków parlamentu. Lice pierwszego jest niepoślakowanej okrągłości, wyraz jego łagodny, poważny, a nawet flegmatyczny, podczas gdy rysy twarzy nieodmienniego sąsiada jego są ostre, prawie kwadratowe, z wyrazem, w którym się odbija genialność i najwykwintniejsze wykształcenie.

(D. n.)

Teatr krakowski.

(Ciąg dalszy)

W odegranej sztuce wystąpili bracia Królikowscy, Janowski, Benda, Ładnowski, Ficzkowski, panny: Radzyńska, Kotowska, Okońska, Micińska, Ładnowska, pani Królikowska.

Rola Janowskiego, młodego huzara, trzpiota, i Królikowskiego dziwaka szlachcica przedpotopowego, ogarniają cały interes sztuki, i oddane były należycie. Królikowski (mruczodoł), typ oryginała starego pelonusa, uwydatnił ją tak, jak już od lat kilku niewidzieliśmy na scenie naszej; jednakowoż rolę niedorzeczną samą przez się, psuł kiedyś kiedyś przesadą, mianowicie w ostatnich aktach.

Ładnowski w roli Wąsiewicza dworzanina umiał właściwą komiką utrzymać naturalność charakteru, choć to charakter spaczony, ani dowcipny, ani rubaszny ani też zabawny. Janowski Ant. w rol Adolfa miał zadanie trudne i pracowite, ale rozwiązał je z łatwością nad spodziewanie. Chcąc być lekkim, może nieco za wiele tańczył i skakał po scenie zamiast chodzić, w czem może przypominał manierę Miłaszewskiego; ale zresztą zaspokoił wszystkich dostatecznie, i przyczynił się do możliwego utrzymania chwilowo jakiej takiej wartości komedyi.

Sulikowski (kochanek August Szumnicki) wydawał się nieco znośniej, nizeli w rolach poważnych, w charakterach czarnych, intryganek które mu dawniej powierzano. Benda (Baltazar Mruczodoł syn) miał rolę starościca niewdzięczną, ale dla siebie właściwą. Przedstawił młodzieniaszka, który niby to zgłupia frant, niby zaż według terminu wieśniaczego niespełniak, wypowiada w tłumie słów wiele niedorzecznych, dwuznacznych, a mało trafunkiem dorzecznych. Zrobił on z roli swej co można uczynić było, ale charakter Baltazara (przypominający młodzieniaszka z starej włoskiej opery Sardzino) zamiast być komicznym, stawał się niesmacznym. Ficzkowski (jako hrabia Nowoświecki) nie zepsuł roli nader łatwej, starego nieruchliwego męża, wodzonego za nos przez młodą połówicę, kaleczącego język polską francuzczyzną.

Panna Kotowska (młoda wdowa) grała ze zwykłym talentem, i odznaczała się szczególnie w aktach następnych, mianowicie w miejscach, gdzie mimikę zalotności rozwija zrećnie. śmiało i filternie.

Panna Radzyńska (Pulcherya hrabina) przyjęta z wielkimi oklaskami za ukazaniem się swoim, nie miała roli takiej, w której mogłaby korzystnie przypomnieć się dawnym względem publiki.

Panna Okońska (Leontyna, córka starosty) ma pewien stopień uczucia, — umie więc przedstawiać kochankę; zapewne z ubiegim czasu nabierze więcej życia, więcej śmiałego ułożenia, pozbędzie się pensjonarskiej niepewności i pochylenia figury, a szlachetna gra jej i objawiona tklivość, zyskają uznanie zasłużone.

Panna Ładnowska (Klara, wychowanka starosty) okazuje usposobienia bardzo początkowe. Do jej organu głosu potrzeba będzie przyzyczać się, a monotonia wygłaszanej lekeyi ustanie, jak skoro aktorka przeżyje dłuższy czas na deskach teatralnych.

Pani Królikowska dopięła celu, bo rola starej panny Korduli ochmistrzyni, obudzała wesołość, ale aktorka przesadzała, a ta przesada raziła niepospolicie Prowincjonalny zwyczaj udawania starej panny, spowszedniał jednostajnością. Staranie się wyłącznie o śmieszność, w dopięciu czego: zasadzanie jej głównie na stroju dziwacznym, nie znamionuje arystostwa. Ubiór aktorki zresztą, nie był ubiorem

niedawnym lub dawnym (bo rzecz sztuki dzieje się przed laty kilku) podstarzałej polki, ale zakrawał coś na azyatyctym, na chińszczyznę, a mimo całej nieharmonijnej fantastyczności, mógłby się niepomięty i czyściej wydawać.

(D. n.)

Rozmaitość.

* Wyczytawszy w Numerze 240 „Czasu,” wspomnienie o jednym jenerale rosyjskim w wojnie 1831, który widząc swe armaty zabrane, skarżył się że mu nie dano czasu sformować się i manewrować, mogę w krótkich wyrazach tę rzecz lepiej wyjaśnić. Wyrażenie powyższe było jenerała Gejsmara po bitwie pod Stoczkiem i miał rację uskarżać się, bo jak tylko ściśnięte jego kolumny ukazały się z lasu, dowódca korpusu naszego atak naszych szwadronów tak rozporządził, że nim kolumny mogły się rozwinąć, obkoczono, rozbite, rozprószone, zostały i oprócz mnóstwa wziętych w niewolę, 11. armat z całym zaprzęgiem i wozami amunicyjnymi dostały się w nasze ręce, co dla nas też bardzo dobrze wypadło.

J. L. podoficer z pułku krakusów.

* Cesarz Mikołaj swoim jenerałom i admirałom każe prawie morały lecz nie w depeszach ale ze sceny. Przedstawiają teraz w Petersburgu komedią której treść następująca: Jeden z w. książąt usnał jakiegoś artystę za godnego względów swoich, każemu przez swego ochmistra kiesę złota doręczyć. Ochmistrz dzieli ją na dwoje, jedną połowę chowa dla siebie, a drugą daje podochmistrowi, ten połowę dzieli znów na dwoje, i jedną część niższemu urzędnikowi dworu oddaje, który znów manewruje tak samo jak tamci. Tak więc owe 100 sztuk złota przechodzą przez mnóstwo rąk, nim dojdą do rąk artysty, stopione na sztukę jedną, rozumie się — fałszywą!

* **Baraki z lanego żelaza** przeznaczone do obozów francuskich, przybyły już z Londynu do Boulogne. Każda baraka ma 80 stóp długości a 25 szerokości, złożona z pięciuset do sześciuset sztuk żelaznych i kosztuje 3000 złr. m. k. W każdej części obozu będzie 8—10 takich barak, w których żołnierze ogrzewać się mają. Koszta na niełoży Cesarz Napoleon z swojej własnej szkatuły.

* **Piękny czyn kilku francuskich żołnierzy.** Z garnizonu w Foix wysłano 40 żołnierzy na wieś dla utrzymania spokoju. Właśnie w tej okolicy wybuchła okropna cholera, a żołnierze ofiarowali się wieśniakom nie tylko do posług przy chorych, ale i w polu im pomagali. Jeden z poczciwych żołnierzy padł ofiarą moru. Minister wojny kazał im zupełnie swoje oświadczyć zadowolenie, równie jak tym, którzy daleko od ojczyzny piersi swe za sławę jej na strażły rosyjskie nadstawiają.

Szarady przez P.

1. Pierwsze jest rzeka, a drugie i trzecie
Rośnie tylko w lecie,
Wszystko jest jadem, w rozmaitym względzie,
Jak kto sobie przyprawi, tak smakować będzie.
2. Pierwsza wraz z drugą popędzą cię w światy,
Druga wraz z trzecią jest rzecz pożądana,
Jeśli z rozumem i od serca dana,—
Wszystko mieć możesz, gdy jesteś bogaty.
3. Pierwsze z drugim gniew rozbraja, trzeci zawsze daje,
Wszystko krótkie lub długie w życiu się wydaje.
4. Pierwsze z drugim złoczyńców nie minie
Drugie wraz z trzeciem jest w żydowskiej gminie,
Wszystko zależy od jego użycia,
Albo śmierć zada, albo broni życia.

5. Jak jedną sylabę powtórzysz dwa razy,
Będiesz miał zaraz sprzeczne dwa obrazy,
Jeden apetyt, a drugi wstręt rodzi,
Jedno święta przynoszą, drugie samo chodzi.

Przyjechali od dnia 8. do 9. listopada do Lwowa:

PP. Załęski Franciszek, z Dobrowlan. Babecki Leon, z Wielkioch oczów. Radziejowski Edward, z Dytkowic. Stopeczyński Franciszek, z Tarnopola. Łoś Włodzimierz, hr. z Dobrzanki. Morawski Roman, z Tarnopola. Bochdan Stanisław, z Przemyśla. Ciepeliowski Dyonizy, ze Sambera. Zabielski Ludwik, hr. z Krakowa. Szumlański Konstanty, z Wołkowa. Lewicki Kajetan, hr. z Chorostkowa. Szepepański Franciszek, ze Stanisławowa. Krasicki Aleksander, hr. z Krakowa. Ryłski Wineenty, ze Zagórza.

PP. Bąkowski Adam, hr. ze Stanisławowa. Lipowski Konstanty, ze Szczecina. Urbański Jan, z Dankowic. Romański Ludwik, z Romanowa. Łączyński Tomasz, z Laszek dolnych. Mrozowiecki Stanisław, ze Sokołówki. Karczewski Michał, z Tarnopola. Komarnicki Bolesław, z Jąckowic. Piotrowski Józef, z Hnatkowic.

Wyjechali od dnia 6. do 7. listopada ze Lwowa:

PP. Strzelecki Krzysztof, do Płuchowa. Malinowski Stanisław, do Horożanki. Padlewski Franciszek, do Stanisławowa. Malczewski Stanisław, do Stanisławowa. Paszkudzki Ignacy, do Przemyślan. Czacki Aleksander, hr. do Przemyśla. Karnicki Teodor, hr. do Michałowic. Golejowski Jan i Karol, hr. do Krzywczego.

PP. Romaszkan Jakób, do Koszyłowic. Krajewski Mikołaj, do Turzego. Nahujowski Jan, do Kropiwnika.

Kurs telegrafowany z Wiednia 10. b. m. o g. 2 po połud.

Amszterdam	—	Medyolan za 300 lirów	121 1/2.
Augsburg za 100 zlr.	124 3/4.	Paryż za 300 franków	144
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 zlr. podług		Srebra agio	26
24 1/2 stopy	123 1/2.	Pożyczka 5% 83 1/2.	4 1/2. —
Genua	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	90 3/8.	Akcyje banku	1238.
Konstantynopol	—	Kolej północna	177 1/2
Liwurno	—	Obl. ind.	74 1/4.
Londyn za 1 funtszterl. 12.	—	Nowa pożyczka z loteryą	97 3/16.
Marsylia	—	Pożyczka narodowa	87 3/8

Dzisiejszy.

Kurs lwowski.

Gotówka towarem.

Dukat holenderski	zlr. 5 kr. 44 zlr.	5 kr. 48
Dukat cesarski	5 a 50 a	5 a 54
Półimperyal zł. rosyjski	10 a 4 a	10 a 6.
Rubel srebrny rosyjski	1 a 56 a	1 a 57.
Talar pruski	1 a 49 a	1 a 51.
Polski kurant i pięciozłotówka	1 a 25 a	1 a 26
Galicyskie listy zastawne za 100 zlr. bez kuponu	85 a 45 a	86 a —
Obligacje indemnizacyjne 73. 36 do 74 Zlr.		10 kr.

Lwów 10. Listopada. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 30 zlr. — kr. do 30 zlr. 15 kr. — Żyta po 24 zlr. 5 kr. do 26 zlr. — kr. Jęczmienia po 20 zlr. — kr. do — zlr. — kr. Owsa po 17 zlr. 30 kr. do 19 zlr. — kr. Grochu po 26 zlr. — kr. do — zlr. — kr. Hreczki po 18 zlr. 30 kr. do 18 zlr. 45 kr. — Ziemiaków po 7 zlr. 30 do 10 zlr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 30 zlr. — kr. do 31 zlr. Sosnowego po 22 zlr. 30 kr. do 23 zlr. 45 kr. w.w. Cetnar siana 2 zlr. 30 kr. do 2 zlr. 37. kr. Centnar słomy 1 zlr. 52 kr. do 2 zlr. 18. kr. w.w. Garniec 30 stopniowej okowity 5 Zlr. 10 kr. m. k.

BRYCZKA neutitscheńska, mało używana, niekryta, jest do sprzedania; bliższa wiadomość w drukarni „Nowin”. (162)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**



Realność do sprzedania

lub do wynajęcia na czas dłuższy.

Realność na syxtuskiej ulicy pod Nr. 100^{2/2} składająca się z pięciu domów, z których dwa jednopiętrowe, i ogródków, mająca razem 19. pokoi, 4. kuchnie, stajnie na 40 koni, komorki i piwnice, przystem wyszynk intratny, jest z wolnej ręki do sprzedania lub do wynajęcia na czas dłuższy. Ta realność szczególnie przydatna na fabrykę lub inne przedsiębiorstwo. Bliższej wiadomości udziela księgarnia Kallenbacha. (163) (1—6)



Skład sukni męskich

(137)

Franciszka Bałutowskiego

pod Nr. 323 przy ulicy Nowej.

zaopatrzone zostały przy nadchodzącej porze jesiennej najświeższymi towarami po najrozmaitszych cenach. Aby dogodzić wszelkim żądaniom, urządzone jest ten skład w ten sposób, iż sukni tak gotowych, jak i zamówionych po niższych i wyższych cenach dostać można.

1. **Surduty wierzchnie**, tak zwane **Oberroki**, w cenie od 25 zlr. do 50 zlr. m. k. różnie, bruxeliną, półsuknem, lub całe jedwabiem podszyte.

2. **Bundy do podróży** z grubego sukna, bardzo trwałe i nieprzemakające, od 25 zlr. do 30 zlr. m. k.

3. **Paletoty** do ciała przystające, od 20 zlr. do 30 zlr. m. k.

4. **Profetki** jakoteż **Karbonarki**, wawowane lub dwustronne od 20 zlr. do 35 zlr. m. k. i to w każdym kolorze, w jakim sobie kto życzy.

5. **Pantalony** rozmaite, od 8 zlr. do 14 zlr. m. k.

6. **Kamizelki** pliszowe axamitne, od 8 zlr. do 12 zlr.; axamitne od 6 zlr. do 12 zlr., wełniane zimowe ad 4 zlr. 30 kr. do 7 zlr. lżejsze od 3 zlr. 30 kr. do 5 zlr. m. k.

Osoby mieszkające na prowincyi potrzebują jedynie przesłać do tego składu objętość korpusu swego pod pachami, z uwagą, czy budowa jest zwyczajna, regularna, lub w czem się od regularnej różni. Wedle systemu krawiectwa francuskiego podług tego skrojona będzie suknia, za której stósowne zrobienie skład ręczy. (5—10)

PŁÓTNA HOLENDERSKIE

iszwajcarskie webowe

(164)

jako też i

(1—3)

DIWANY ANGIELSKIE

nadeszły w wielkim wyborze i sprzedawają się po najumiarkowańszych cenach w handlu galanteryjnym

Wincentego Kirschnera we Lwowie.

Z drukarni **E. Winiarza.**